

BYŁE SIĘ NIE SKO

– Przed zdradliwą pasją ochronił mnie okropny kac – wyjawia nam (a to rzadkość, bo wywiadów niemal nie udziela) weteran warszawskich scen, mistrz dubbingu, niegdyś gwiazda „Czterech pancernych i psa”. Od 13 sierpnia Włodzimierza Pressa możemy oglądać w kinach w filmie „Czarna owca”.

Piotr Guskowski

Warszawa, osiedle Stegny. Dzwonię do drzwi. Włodzimierz Press wita mnie ze smartfonem w rękę: – Przepraszam, właśnie sprawdzałem, jak wypadło słuchowisko, które zrobiliśmy. – Świetnie wypadłeś – komentuję z drugiego pokoju żona, pani Renata, po czym pyta: – Tu będziecie rozmawiać? – Nie, nie, pójdziemy do kawiarni. – Więc idziemy.

ROZMOWA Z
WŁODZIMIERZEM PRESSEM

PIOTR GUSZKOWSKI: Słyszałem, że na planie „Czarnej owcy” w przerwach między zdjęciami siedział pan często z nosem w smartfonie.
WŁODZIMIERZ PRESS: Panuje przekonanie, że my, starsi, jesteśmy na bakiem z technologią, ale ja całkiem nieźle sobie radzę. W gry żadne nie gram. Robię dużo zdjęć i uwielbiam oglądać fotoreportaże, zwłaszcza że mój syn jest fotografem, któremu sekunduję z zachwytem. Poza tym śledzę wiadomości na portalach społecznościowych.

Polityka?
– Też, poza tym kultura, sprawy społeczne. Interesuję się sportem, ale nie jestem skażony kibicowskim szowinizmem. Jeśli widzę dobrze rozwijającą się akcję, to chciałbym, żeby zakończyła się sukcesem, nieważne na czyją korzyść. Traktuję relacje sportowe jak spektakl teatralny, a spektakle niosą tajemnicę. Wynik czy puenta pozostaje nieznana. A jeśli nawet jest znana, to pasjonujące pozostaje, jak tym razem zostanie ukazana, jak się to ma do naszej współczesnej wiedzy, doświadczenia i wrażliwości. Każdy mecz to nie napisany dramat. Za nim stoją przecież ludzkie tęsknoty, wyrzeczenia, wysilek.

Ostatnio miał pan sporo sportowych emocji: najpierw Euro, potem igrzyska olimpijskie w Tokio.
– Żałuję tylko, że czasem muszę włączyć przez to telewizję publiczną, bo akurat tylko tam nadają transmisję. Staram się tego unikać, nie mo-

▼ **Włodzimierz Press:** W „Czarnej owcy” gram ojca i dziadka głównych bohaterów. Funkcjonuję w ich domu trochę na zasadzie wyposażenia wnętrza

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI / TVN

gę znieść, co ten Jacek Kurski wyprawia. Tyle nienawiści, szczucia. Pal li cho „Wiadomości”, ale nawet cudowny koncert „Zielono mi” z piosenkami Agnieszki Osieckiej potrafił zmanipulować.
Mam poczucie, że żyję w nieładnej Polsce. Mentalnie pozostaję w opozycji do tego, co i w jaki sposób robi władza PiS. Słucham ich autorytatywnych wypowiedzi i przeraża mnie pewność, z jaką ci ludzie je wyrażają.
Ale niepotrzebnie zeszliśmy na takie tematy. Rozumiem, że spotkaliśmy się z okazji premiery „Czarnej owcy”? Pan, w przeciwieństwie do mnie, film już widział. Mam tremę przed oficjalną premierą, dawno nie pokazywałem się na ekranie i ciekaw jestem konfrontacji z kinomanami.

Czego się pan obawia?
– My, aktorzy, jesteśmy gliną, której reżyser używa do swoich artystycznych wizji. Mamy przecież swoje propozycje i pomysły, które – lepsze lub gorsze – są rejestrowane, nigdy nie wiemy jednak, który dubel zmieści się w montaży. Zobaczę to dopiero na premierze. W „Czarnej owcy” gram ojca i dziadka głównych bohaterów. Jestem przez nich zaopiekowany, ale funkcjonuję w tym domu trochę na zasadzie wyposażenia wnętrza. Wnuk wykorzystuje mnie do realizacji zabawnych według niego materiałów wideo na swoim kanale, a ja wchodzę w tę konwencję.

Przed naszą rozmową przeglądałem zasoby Fototeki. Większość to zdjęcia z planu „Czterech pancernych i psa”.

„Czterej pancerni” dali mi satysfakcję, do dziś mnie ludzie rozpoznają, chociaż nie wyglądam jak tamten młodziak



Nagle patrzę: „Faraon”. Myślę sobie: „Bałagan mają, co tu robi Jerzy Zelnik?!”. Ale przyglądam się i to jednak pan, na zdjęciach próbnych do filmu Jerzego Kawalerowicza.
– Schodziłem z tych próbnych zdjęć z myślą, że zagram Ramzesa. A przynajmniej, że mam duże szanse. Asystent reżysera Mieczysław Waśkowski mrugnął do mnie porozumiewawczo i powiedział: „Widzimy się na planie”. Plotka musiała się szybko rozejść, bo jak wchodziłem na obiad do SPATIF-u, to na mój widok ludzie się odwracali i szepotali między sobą. Ja w tę plotkę niestety uwierzyłem i się zapaliłem. Ale nikt do mnie więcej nie zadzwonił. Potem, z gazety, dowiedziałem się, że zdjęcia do „Faraona” ruszyły, z Jerzym Zelnikiem w roli głównej.

Zdjęcia próbne w tamtych czasach przeprowadzano w charakterystyce, kostiumie i scenografii z filmu, a udział w nich był płatny.
– Właściwie tylko dlatego wziąłem udział w zdjęciach próbnych do „Czterech pancernych”. To było krótko po niepowodzeniu z „Faraonem”, kiedy straciłem resztki wiary, że do czegośkolwiek się w tym zawodzie nadaję.
Tego samego dnia na zdjęciach pojawił się Janusz Gajos. Zagraliśmy słynną już scenę bójki pomiędzy Grigorijem i Jankiem, po której bohaterowie ustalają: „moja wojna, twoja wojna, nasza wojna”. Mam taką urodę, że łatwo mogę zagrać Żyda, Gruzina czy nawet Włocha. W każdym razie obaj z Januszem musieliśmy się spodobać. Po dwóch czy trzech dniach dostałem angaż, pozostawało załatwienie zgody dyrekcji Teatru Ludowego.
Nigdy nie miałem poczucia, żeby „Czterej pancerni” byli jakąś formą indoktrynacji, traktowałem ten serial jako prostą opowieść o żołnierskiej przyjaźni dla młodzieży. Nie uczestniczyłem w nim ani dla sławy, ani dla pieniędzy. Zwłaszcza że w tamtych cza-

sach za udział w serialu zarabiał się niewiele. Pamiętam, jak po skończeniu pierwszej serii kolega z teatru poprosił mnie o pożyczkę. A ja nie miałem żadnych oszczędności. Ale wiedziałem, że mi nie uwierzy, grałem przecież jedną z głównych ról. Więc żeby mu pożyczyc, nic nie mówiąc, sam zapożyczyłem się u mojego przyjaciela Andrzeja Konica, reżysera „Czarnych chmur”.
Dał mi ten serial satysfakcję, do dziś mnie ludzie rozpoznają, chociaż nie wyglądam jak tamten młodziak, sam pan mnie przecież widzi pozbawionego wąsów... i nie tylko.

Na planie poznał pan przyszłą żonę.
– Renata była jeszcze studentką, przy drugiej serii „Czterech pancernych” pracowała już jako samodzielna kostiumografka. Przy ostatniej nie brała udziału, bo w 1967 r. urodził się nasz syn Grzegorz. Fotograf, po tatusiu niestety nienarzucający się światu. Ale przyzna pan, że dostał ode mnie dobre nazwisko do tego zawodu. Jest czułym obserwatorem. Proszę zobaczyć, jaki portret mi zrobił [pan Włodzimierz pokazuje zdjęcia na smartfonie]. A tutaj sfotografował uczestników Parady Równości. Piękni ludzie.

Wszyscy pewnie myślą, że Grzegorz to po Grigoriju.
– To zbieg okoliczności. Syn dostał imię po moim ojcu, który zginął w Treblince. Nie poznałem go. Losy wojny rozdzieliły młodych, zakochanych ludzi. Mama musiała uciekać z Warszawy. I tak, zbiegiem różnych okoliczności, urodziłem się we Lwowie. Na jakiś czas trafiłem do domu dziecka dla polskich sierot i pól sierot wojennych znajdujących się właśnie na terenie ZSRR.

Spodziewał się pan takiej popularności „Czterech pancernych”?
– Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Organizowano mnóstwo spotkań z naszym udziałem, z publicznością,

MPROMITOWAĆ



z dziećmi w szkołach. Przyznam się panu, że jak tylko mogłem, to odmawiałem. Wstydzilem się. Nigdy nie zapomnę jednak wizyty w Łodzi. Poszła wiadomość, że czterej pancerni przejadą „Rudym” ulicą Piotrkowską. Zeszło się ponoć ćwierć miliona chętnych to zobaczyć, jak na marsz pierwszomajowy. Czołg stał na placu przed remizą strażacką, tłum tak napierał na bramę, że w końcu ją wyważył. Rzeka ludzi wlała się prosto na nas. Mimo euforii tłumy szczęśliwie uszliśmy z życiem. Mogliśmy się poczuć jak Beatlesi.

Pan ten czołg prowadził, a nie miał nawet prawa jazdy.

– Mało tego, do ujęć musiałem zdejmować okulary. Szkieł kontaktowych wtedy jeszcze nie było. Grałem więc, że dobrze widzę – między innymi na tym polegało moje aktorstwo. Przeszedłem kurs jazdy czołgiem, bardzo krótki. U mojego boku, niewidoczny w kadrze, siedział czołgista, mój anioł stróż. Zwykle jeździłem po lesie czy polach, więc nie było większego zagrożenia.

Przestraszyłem się na planie chyba tylko raz. Mieliśmy kręcić scenę, jak zeskakuję z konia, żeby nie dopuścić do samosądu na niemieckim jeńcu i obronić go przed Czeresniakiem. Było kilka prób. Wreszcie padła komenda „akcja”, robię wszystko jak poprzednio i nagle widzę nad sobą kopyta. Odruchowo, jakbym się opędział od muchy, machnąłem ręką do tyłu i poczułem na dłoni ciepło piersi czy szyi zwierzęcia, po czym usłyszałem huk. Okazało się, że ja, człowiek niepozornej postury, przewróciłem wielkiego konia. Stracił równowagę, kiedy stawał dęba. Nie wiem, czy zostało to zarejestrowane na taśmie, ale z perspektywy kamery musiało wyglądać spektakularnie. Na szczęście koniowi nic się nie stało.

Powiedział pan, że „Czterej pancerni” to była dla pana opowieść o przyjaź-

ni. Coś z tej relacji na planie pomiędzy aktorami przetrwało?

– Przez kilka lat, bo realizacja serialu z przerwami trwała od 1965 do 1970 r., byliśmy skazani na siebie jak ci żołnierze. Lubiliśmy się. Ale przyjaźń zakończyła się wraz z końcem serialu, każdy z nas poszedł własną drogą. Z Januszem Gajosem miałem potem okazję pracować w teatrze. Jeszcze do niedawna graliśmy „Udrękę życia” w Teatrze Narodowym. Właściwie Janusz z Anią Seniuk grali, ja miałem tylko epizod – drobny, ale bardzo go lubilem.

Nie taki znowu drobny, zebrał pan świetne recenzje i dostał Feliksa Warszawskiego.

– Ma pan rację. Wcześniej spotkaliśmy się z Januszem w Kwadracie, do którego zaprosił mnie Edward Dziewoński. Najwidoczniej musiał mnie polubić, bo, choć zawsze czułem w sobie komediową nutę, nie byłem wcale oczywistym wyborem do takiego repertuaru. Od początku widziano we mnie raczej zadatki na amanta i romantyka.

Scena ta powstała z inicjatywy Komitetu ds. Radia i Telewizji, była strukturalnie częścią Telewizji Polskiej, a my w stanie wojennym byliśmy pracownikami instytucji zmilitaryzowanej. Kiedy w 1982 r. wystąpiłem z prośbą o zezwolenie w specjalnym trybie na wyjazd do chorej matki do Paryża, zostałem sprawdzony pod każdym kątem, nawet pod tym, czy nie zalegam w kasie pomocogowo-pożyczkowej albo z oddaniem książek w bibliotece.

Dlaczego pana mama wyemigrowała z Polski?

– To była konsekwencja wydarzeń marca 1968 roku. Sama nie doświadczyła z powodu swojego pochodzenia wyrazów wrogości, ale kierowało nią poczucie solidarności ze współpracownikami czy znajomymi, którzy mieli mniej szczęścia i musieli opuścić kraj. W każdym razie za tę antysemicką nagonkę mama obraziła się na PRL. Dlatego wyjechała. Najpierw do Izraela, gdzie nie mieliśmy żadnych krewnych, a ostatecznie osiadła we Francji.

Pan o wyjeździe na stałe nie myślał?

– Nie brałem tego pod uwagę. Wspomniany wyjazd do Paryża w stanie wojennym potraktowałem jak wakacje z rodziną. W Polsce trwał bojkot państwowych publikatorów, artystycznie kompletnie nic się nie działo. Posiedzialem z przerwami kilka lat, aż zatęskniłem za ojczystym językiem. Chciałem wrócić do pracy, grać. Syn i córka zdali we Francji matury i skończyli studia, pomagała moja siostra, która już dłużej tam mieszkała. Grzegorz potem wrócił do Polski, a Tania została. Dziś jest opiekunką produkcyjną studentów ostatniego roku La Fémis, sławnej wyższej szkoły filmowej w Paryżu.

Rzadko pan udziela wywiadów, ale jeśli już pan to robi, pytany o karierę powtarza pan, że nie wierzy w siebie i nie potrafi o siebie walczyć. Dlaczego?

– Wspominał pan, że z wykształcenia jest psychologiem, pewnie lepiej pan wie ode mnie.

Obiektywnie powodów do takiego myślenia pan nie ma. Do szkoły dostał się pan za pierwszym razem.



Mam poczucie, że żyję w nieładnej Polsce. Mentalnie pozostaję w opozycji do tego, co i w jaki sposób robi władza PiS

– To prawda.

A Janusz Gajos zdawał kilka razy. Po szkole dostał od razu pan angaż w teatrze, potem rolę w głośnym serialu...

– Wszystko prawda, ale na kino się nie załapałem. Choć przyznaję, nie wałczyłem o to za bardzo. Nie umiem się narzucać, odpowiednio sprzedać. Wina leży we mnie. Jestem typem introwertycznym.

Akurat dobrze to rozumiem.

– Do tego dochodzi jeszcze lęk przed odpowiedzialnością za zadanie, które mi się powierza. Mam wrażenie, że jeśli coś w życiu naprawdę dobrze zagrałem, to ze strachu przed kompromitacją. Sam nigdy nie wychodziłem z inicjatywą. Grałem to, co mi proponowano, ale zaraz pojawiała się obawa: „Oby ten, kto mi zaufał, nie doznał rozczarowania”. Poza tym – nie wiem tylko, czy wypada się tym chwalić – należę do mało pijących. Po alkoholu głupstw nie robię, jestem bardzo sympatycznym kompanem i nie pamiętam ludziom złych rzeczy, ale następnego dnia przychodzi okropny kac. I właśnie ten kac ochronił mnie przed zdradliwą pasją.

Więcej pan grał w teatrze.

– To nie były nigdy wielkie zadania, ale rzeczy, które lubilem grać. Od lat jestem na emeryturze. Grywałem jednak gościnnie w teatrach Syrena i Kwadrat, cały czas grywam w Teatrze Narodowym. Dyrektor Jan Englert znajduje mi interesujące epizody dające artystyczną satysfakcję. W ostatnich latach była to rola Sorina w „Mewie” u Agnieszki Glińskiej czy dopisana do „Operetki” Gombrowicza postać Offenbacha. We wrześniu wznawiamy „Idiotę”. Będzie można mnie zobaczyć również w Teatrze Polskim, w listopadzie premiera „Wiśniowego sadu” w reżyserii Krystyny Jandy. Poza tym występuję w radiu, nagrywam dubbingi. Zostałem smerfem Łasuchem i Kotem Sylwestrem, więc mogę sobie bezkarnie poseplenić.

Podobno dziś niektórzy reżyserzy nie chcą, żeby aktorzy dbali o dykcję, intonację itd., bo według nich to wypada nienaturalnie, zbyt teatralnie.

– A potem nikt nie rozumie dialogów? Pamiętam, jak Jan Kreczmar, opiekun mojego roku w PWST, zarzucał Zbyszkowi Cybulskiemu, że ten uprawia styl kamizelkowego grania. Czyli nie artykułuje jak należy, mówi od niechcenia. To rzeczywiście jest prawdziwe, uwodzi, nawet ciało się od razu inaczej ustawia. Myślę, że teraz mówię zbyt dykcyjnie, próbując go naśladować. Chyba po prostu nie umiem inaczej.

Dużo się teraz mówi o wydziałach aktorskich w kontekście ujawnionych nadużyć.

– Słyszałem anegdotę o metodach stosowanych przez Tadeusza Łomnickiego. Z tekstu sceny wynikało, że po-

stać ma się rozebrać, ale studentka nie miała odwagi, trzęsła się. On nie ustępował. Kiedy dziewczyna wykonała wreszcie gest świadczący, że się przełamała, Łomnicki miał powiedzieć: „Stop, dziękuję”. Chodziło mu o samą gotowość do pokonania zrozumiałych oporów.

Pan czegoś podobnego doświadczył?

– Nigdy. Ze szkoły mam dobre wspomnienia, nawet „fuksówka” wyglądała inaczej od tego, jak ją dziś opisują. Mój rocznik stanowił zgraną paczkę pasjonatów, w przerwach między zajęciami lataliśmy do kawiarni Alibabka przy Miodowej, teraz jest tam irlandzki pub. Asystentem Kreczmara był Zbigniew Zapasiewicz. Nieduża różnica wieku, zaledwie kilka lat, sprawiała, żeśmy się dobrze dogadywali. Nie mówiąc już o tym, że graliśmy razem w brydża.

Dużo dał mi profesor Aleksander Bardini. Potrafił przekuć nasze wady i przywary w aktorskie atuty. Kiedy dowiedzieliśmy się, że w ramach dyplomu będziemy wystawiać „Operę za trzy grosze”, zastanawialiśmy się, kto z nas zagra Mackiego Majchra. Byłem jedynym, którego nie brano pod uwagę. Po czym wywieszono obsadę i okazało się, że Bardini właśnie mnie widział w roli Mackiego Majchra, ale w duecie z Emilią Krakowską jako Polly.

Wie pan dlaczego?

Nie mam pojęcia.

– Jest u Brechta taka piosenka „Bo miłość i tak kiedyś kończy się...”. Mackie nosi na rękach Polly i razem to śpiewają. Ja byłem niewysoki, drobnutki, a Emilka trochę przy kości. I Bardini wymyślił sobie, że odwróci role: to nie ja będę ją nosił, tylko ona mnie. Niestety z przyczyn osobistych Krakowska musiała się po drodze wycofać, więc zostałem sam, bez mojej Polly. Grałem to ostatecznie na zmianę z Robertem Polakiem. On tworzył drugi duet z wyjątkowo utalentowaną Ewą Wiśniewską. Już wtedy budziła nasz zachwyt.

Zaraz po szkole oboje z Ewą zostaliśmy zaangażowani do Teatru Ludowego na warszawskiej Pradze, a potem jeszcze na otwarciu Teatru Kwadrat partnerowaliśmy sobie w sztuce „Prawdziwy mężczyzna”.

Komar nad panem lata, boi się go pan?

Nie mogę go upolować.

– Żartuję czasami, że mnie nawet komary nie lubią, bo mnie nie gryzą. Ale żonę za to uwielbiają. Koleżanka aktorka musiała zapamiętać mój żart, bo jak się teraz widzieliśmy, poleciała mi jakąś roślinę. Mam tu na karteczce zapisaną nazwę. Wrotycz. Podobno jej zapach skutecznie odstrasza komary. Trzeba będzie spróbować.

[wylączam dyktafon, wstajemy od stolika, ale jeszcze rozmawiamy po drodze]

– Nawet pan nie wie, jak ja nie lubię zajmować się sobą i dlatego tak rzadko udzielam wywiadów – zwierza się Włodzimierz Press na pożegnanie. – Myślałem, że pan będzie rozmawiał ze wszystkimi aktorami „Czarnej owcy”, a nie tylko ze mną – dodaje. – Mam nadzieję, że głównych bohaterów też dopadniecie. ●